

NASZE SPOTKANIA Z TELEKOMUNIKACJĄ

PAST-a, żuraw i arrasy czyli gawędy o zabytkach

Dawny gmach PAST-y przy ulicy Staszica w Lublinie, willa „Ukraina” w Nałęczowie, spichlerz „Pod Żurawiem” w Kazimierzu Dolnym, dawny budynek Poczty i Telegrafu w Puławach przy ulicy Księżnej Izabelli, staromiejski dom przy ulicy Poprzecznej w Lubartowie. Co mogą mieć ze sobą wspólnego te obiekty? Wszystkie są zabytkowe, do krajobrazu kulturowego wymienionych miast przywrócone zostały kosztem i staraniem Zakładu Telekomunikacji w Lublinie, jako że stanowią jego własność lub są przez Zakład wynajmowane. W Lublinie, Puławach i Lubartowie obiekty te pełnią funkcję Biur Obsługi Klienta. W Nałęczowie, prócz pomieszczeń dla Nadzoru Telekomunikacyjnego, biur, części hotelowej, pracuje nowoczesna centrala automatyczna. W Kazimierzu Dolnym w spichlerzu – perełce kazimierskiej architektury, funkcjonuje ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy. Dzięki takiemu rozwiązaniu nie naruszono substancji zabytkowej obiektu.

PAST-a przy Staszica

Nazwa ta nie zadomowiła się w Lublinie, choć wiadomo było, że właśnie ta firma – Polska Akcyjna Spółka Telegraficzna – wniosła w latach 1923-1926 przy ulicy Staszica 14a – wcześniej przy Początkowskiej – najnowocześniejszą centralkę telefoniczną w ówczesnej Polsce. Lubelska PAST-a oddała jakby prymat swej nazwy budynkowi „Cedergrenu” w Warszawie, też będącemu własnością Spółki i od niej również biorącemu nazwę PAST. Był to znacznie starszy od lubelskiego gmach, wzniesiony w 1908 roku przy ulicy Marszałkowskiej jako najwyższy wówczas „drapacz chmur” w Warszawie, wstawiony w czasie powstania warszawskiego ciężkimi i heroicznymi walkami.

Ale i lubelska PAST-a z chwilą pospiesznego wycofywania się hitlerowskich wojsk z miasta w dniach 22-23 lipca 1944 roku narażona była na demontaż i dewastację urządzeń centrali. Nie dopuścili do tego jednak lubelscy łącznościowcy, wykazując wielką odwagę, determinację i spryt. A sam moment „odparcia” Niemców od zabarykadowanych drzwi centrali był tyleż dramatyczny,

co i w niezamierzony sposób komiczny. Otóż do trzech pozostających w tych gorących dniach wyzwalań Lublina pracowników centrali doszła wiadomość od znajomego Niemca z centrali wojskowej przy ulicy Kościuszki, że już, już zbliżają się do PAST-y niemieccy żołnierze, by zniszczyć strategiczne urządzenia. Łącznościowcy nie stracili głowy, wyłączyli centralę, zabarykadowali się w budynku, a kiedy Niemcy zaczęli się dobijać, odpowiedziała im zza drzwi głośna rozmowa w języku dochodzących dopiero do Lublina wyzwolicieli, czyli po rosyjsku. Ot, zuchy! Scenariusz tego epizodu mogła napisać jedynie wojna.

Piwnice PAST-y przy Staszica dały schronienie wielu osobom podczas bombardowania i wyzwalań Lublina.

To wszystko było „później”. Ale na początku, zanim przy Poczętkowskiej powstała, jako się rzekło, najnowocześniejsza centrala telefoniczna w ówczesnej Polsce, w 1878 roku Graham Bell wynalazł telefon, który mikrofonem własnego pomysłu uzupełnił pan Dawid Hughes. Ale i Polacy mieli w tym dziele niemały wkład. Julian Ochorowicz – psycholog i filozof, badacz hipnotyzmu, telepatii i mediumizmu, przyjaciel z ławy szkolnej Bolesława Prusa, pozytywista, też skonstruował nowe typy mikrofonów: węglowy, magnetyczny i termomikrofon. To jeszcze nie wszystko. Ten kolega Prusa z lubelskiej „budy” był także twórcą telefonu dwumembranowego, czyli głośno mówiącego.

W 1878 roku odbyła się pierwsza polska próba telefonu między Warszawą a Skierniewicami przy pomocy kabli telegrafu kolejowego.

Pierwszą sieć telefoniczną w Warszawie w roku 1881 założyło Towarzystwo Bella, w 1883 miał już taką Lwów. Ale w 1901 roku telefony warszawskie prowadzić zaczęło szwedzkie Towarzystwo „Cedergren”. A Lublin? Lublin swoją pierwszą sieć telefoniczną otrzymał w 1896 roku. Na początek było 35 abonentów: 12 instytucji i 23 osoby prywatne. Trzyminutowa rozmowa kosztowała wtedy 15 kopiejek, a była to równowartość trzech kursów autobusem od Bramy Krakowskiej do dworca kolejowego.

Aż się prosi przypomnieć, jak wtedy, w końcu XIX stulecia, urządzone były – i jak je obsługiwano – centrale telefoniczne nie tylko w Warszawie, Lwowie i Lublinie, ale w całej Europie. Obsługa tych urządzeń była domeną pań telefonistek. Ich miejsce pracy – stojące – znajdowało się przy długiej, drewnianej ścianie, do której wmontowane były gniazdka przewodów. Owe ścianki zaopatrzone w wąski pulpit i lampki sygnalizacyjne o różnych barwach, w zależności od rodzaju abonentów. Zadaniem pani telefonistki było ręczne przełączanie kabla zwanego też sznurem. Bywało, że w centrali umieszczano także równoległe do siebie dwa rzędy ścianek przedzielonych korytarzem dla obsługi technicznej. Cała plątanina kabli biegła pod podłogą. Z czasem „zlitowano” się nad paniami telefonistkami, obniżono pulpity i gniazda, i pozwolono im wreszcie siadać.

W „cicholazach” po centrali

Wówczas i dla abonentów też przysła ulga. Na początku byli oni połączeni – każdy z każdym – przewodami. Wynalazek łącznicy, czyli centrali telefonicznej, 1878 roku dał im możliwość łączenia się z różnymi abonentami. A kiedy liczba aparatów zaczęła rosnać, nie pozostawało nic innego, jak wymyślić i zacząć instalować centrale automatyczne. Pierwsza taka powstała w Krakowie w 1909 roku, następne w Poznaniu, Łodzi i innych miastach.

Mieszkańcy Lublina długo nie mogli się przekonać do tego cudownego wynalazku, jakim był telefon. Kiedy modernizowano lubelską sieć telefoniczną, nie pozwalali instalować na dachach swoich domów tak zwanych stojaków telefonicznych w obawie, żeby znajdujące się w mieszkaniach telefony nie... wybuchły. Tymczasem stara centralna na poczcie przy placu Litewskim pękała w szwach. W 1922 roku, kiedy miasta odbudowywały się i ożywiały gospodarczo, nieodzowna stawała się nowoczesna telefonia. Rząd słusznie więc postanowił utworzyć (za szwedzkim Towarzystwem „Cedergren”) spółkę akcyjną PAST-a. Spółka ta w 1923 roku przejęła pod swoje władanie i lubelskie telefony, natychmiast przystępując do budowy nowoczesnej centrali przy ulicy Poczętkowskiej 14a. Uroczyste otwarcie tej placówki miało miejsce 10 lipca 1926 roku.

Lubelska PAST-a była na wskroś nowoczesna, pracowała według półautomatycznego systemu „Ericssona” o wyjściowej pojemności 600 numerów (w 1931 – 1400). W 1935 roku Centrala została już całkowicie zautomatyzowana (na 2,5 tys. numerów i 1285 abonentów). Główną „siłą” pozostawały jednak nadal pani telefonistki, tyle że stworzono im tu wręcz wzorcowe warunki pracy. Panie posługiwały się – intrygującymi zwiedzających centralę – nagłownymi i napiersiowymi telefonami. Wyrażano w związku z tym obawy o ich zdrowie. W całej centrali było czysto, spokojnie i przestronnie, a pracownice poruszały się bezszelestnie w „cicholazach”, czyli kapciach, o które zadbała dla nich dyrekcja.

Te wszystkie wygody i unowocześnienia wyprzedzały jakby opracowane w 1929 roku przez Ministerstwo Poczty i Telegrafu wytyczne, by wszystkie nowe budynki pocztowe i centralne charakteryzowały się nie tylko prostotą i funkcjonalnością, ale uwzględniały też potrzeby pracownika, który spędzał w nich jedną trzecią swojego życia. Wzorowo urządzone szatnie, pokoje wypoczynkowe, herbaciarnie, umywalnie, szafki do przechowywania mikrofonów. Sypialnie dla telefonistek, biblioteka, natryski i sala gimnastyczna... a w Centrali przy Staszica 14a między innymi sławne „cicholazy” – wszystko to w niebogatych latach 20.

Po wojnie Centralę zmodernizowano, w latach 50. i 60. wyposażono ją w nowoczesną automatykę w systemie STROWGERA na 10 tys. numerów. W 1972 roku weszła tu PENTACONTA. A kiedy w 1994 roku Lublin sprawił sobie nową Automatyczną Centralę Międzymiejstową w systemie EWDS firmy Siemens przy ulicy Chodźki, dawna PAST-a nie pozostała w tyle, przeobrażając się w nowoczesne, eleganckie Biuro Obsługi Klienta, oferując takie „smakołyki” jak zamawianie budzenia bez telefonu do telefonistki w centrali, jak automatyczne

przenoszenie rozmów pod inny numer, informacje o połączeniu oczekującym, opóźniona „gorąca linia”, rozmowy konferencyjne i wiele innych nowości, które realizują nowoczesne centrale Simensa i Alcatela. Kto ciekawy, jak to działa, niech się wybierze do BOK-u przy ulicy Staszica 14a i popyta.

Pozostało z uczty ziemian

Jest w Nałęczowie wzgórze, które nazywa się pięknie: Armatnia Góra. Podobno kiedyś zakopano tu armaty. Przy ulicy o tej samej nazwie w końcu XIX wieku powstawać zaczęły jedne z najokazalszych i najświetniejszych willi nałęczowskiego uzdrowiska – „Widok”, „Podgórze”, „Oktawia”, „Ukraina”. Podobnie jak willa „Pod Matką Boską”, „Raj”, „Biały Dworek”, „Tolin” i inne – miały te letnie posiadłości naśladować szwajcarskie, włoskie i karpackie kurorty w podwarszawskim „świdermajerowskim” wydaniu.

Pan Henryk Straszyński – który jako pierwszy w 1883 roku pobudował tu willę „Ukraina”, miał tego pełną świadomość. Wystawił ją więc w pięknym i rozległym ogrodzie, na pamiątkę tego wydarzenia zamurował w fundamentach domu flaszkę z umieszczonym w niej, odręcznie pisanym listem. Zgodnie ze zwyczajem, nadawca tego przesłania zacytował w nim fragment Ewangelii według św. Jana, dodając skromnie, że to właśnie on – Henryk Straszyński – willę tę założył w Imię Boga 30 sierpnia 1883 roku we czwartek. Tę niezwykłą „przesyłkę” dla potomnych odnalazły służby konserwatorskie, czyniąc podczas remontu willi swój pieczołowity nadzór. Willę nazwano „Ukraina”, bo też i silne były popowstaniowe sentymenty, kiedy to z powodu represji carskich ziemianie z kresów zostali pozbawieni majątków, domów, ziemi, racji bytu.

Na starym przewodniku po Nałęczowie z 1925 roku znajdujemy taka o willi tej informację: „Jest to pałacyk w stylu empire, pięknie urządzone. Na dole willi jest nawet sala balowa, w której 30 lat temu [w 1895 roku] – odbywały się jeszcze huczne bale okolicy”. Kto mógł je wydawać? Wychodzi na to, że pani Maria Cieciszowska z Wołynia, bowiem to ona w tym mniej więcej czasie nabyła dom od pani Żychlickiej.

Nazwisko Marii Cieciszowskiej skłania do następujących pytań: czy jest ona z „tych” Cieciszowskich, z których po kądzieli wywodzą się przodkowie Henryka Sienkiewicza? Czy jest z „tych” Cieciszowskich, z których Maria z domu Suffczyńska była matką Kacpra Cieciszowskiego, biskupa łuckiego, metropolity mohylewskiego, a prababką Joachima Lelewela? Skądinąd wiadomo, że JE biskup Cieciszewski przebywał na kuracji w Nałęczowie w 1807 roku, zajmując letnia na kwaterę pałac Małachowskich. W tym samym czasie na kąpiele dojeżdżał z pobliskich Bronic książę Adam Kazimierz Czartoryski, goszcząc tam z braku miejsca w kurorcie – u Józefa Dembińskiego, także w pałacu.

Jeśli właścicielka willi „Ukraina” była z „tych” Cieciszowskich, to musiała, tak jak Teresa Cieciszowska, ciotka Joachima Lelewela, właścicielka Woli Okrzejskiej i Okrzei, uwielbiać huczne bale, na których ów zacny profesor Uniwersytetu Wileńskiego tańczył zapamiętałe i „rad asystował

damom”.

Po Cieciszowskiej „Ukraina” przeszła na własność Rulikowskich, później, w 1908 roku, droga sukcesji do Marii Jełowickiej, ta znowu sprzedała willę Libie Udli Finkielstein. Kolejnymi jej właścicielami byli – Wiktor Kisiel, Iwona Orda, a w 1939 roku Jerzy Ossowski.

Od 1944 roku był to Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny, a przez pewien czas także i Fundusz Wczasów Pracowniczych.

Gdzie znajdowała się nałęczowska centralka telefonów? Przed I wojną światową w „Ludowcu” – domu wzniesionym w 1906 roku jeszcze z inicjatywy nałęczowskiego Towarzystwa Kredytowego i jego działaczy. Obiekt stoi na samutkim rogu ulicy Lipowej i Granicznej. A przy Granicznej mieszkały pracowitości i zacności wielkiej panie Wisłockie. I one to właśnie obsługiwały nałęczowska centralkę. Maria Wisłoka była matką znanego lubelskiego przewodnika PTTK – pana Wincentego Czarkowskiego, którego ojciec – Zbigniew Czarkowski, fotograf, był autorem zachowanych unikatowych zdjęć przedstawiających i panie Wisłockie przy centralce telefonicznej, i willę „Ukraina” zimą 1912/1913. No i park zdrojowy z okiem Pałacu Małachowskich.

Nie ma już dzisiaj okazałego klombu, który ozdabiał tę część promenady, a po znajdującej się tu fontannie – pozostała tylko rurka.

Natomiast odremontowana przez Zakład Telekomunikacji w Lublinie willa „Ukraina” podniosła znacznie urodę Armatniej Góry. Aż miło tędy przejść, popatrzeć, a potem zatelefonować do znajomych, opowiadając, jak to pięknie jest w tym Nałęczowie.

Żuraw, adiutant i arrasy

W Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, zwanym niegdyś „Małym Gdańskiem”, wzdłuż ulicy Puławskiej, zwanej dla tego samego co i miasto powodu – Przedmieściem Gdańskim, a także i Krakowskim, tak i w jeszcze innych miejscach w mieście stały rzędem ogromne i piękne spichlerze. A było ich prawdopodobnie z 60, z czego co najmniej połowa murowanych. Stanowiły okazały dowód na to, że miastu wiodło się znakomicie. Kazimierz Dolny za przyczyną swego położenia, mądrych królów, europejskiej koniunktury na zboże, drewno i sól, tudzież głowy do interesu kazimierskich mieszczan, stał się wielkim rzeczonym portem przeładunkowych nad Wisłą. I niemałym ośrodkiem zagranicznego handlu zbożem. Kiedy to jednak było? Od połowy XVI wieku do połowy XVII i po trosze w następnych wiekach.

Temu niezwykle awansowi Kazimierza „dopomogło” nieszczęście jakie w 1561 roku spadło na miasto. Tym złem, co to na dobre potem wyszło, był pożar, który strawił niemal całe drewniane centrum, poza fara, zamkiem i kilkoma murowanymi domami.

Pożar wybuchł w jednym z browarów, niszcząc wraz z miastem cały kazimierski przemysł browarniczy. Diabli wzięli piwo, które żywiło i bogaciło miasto. Ale zaczęła się złota era

złotodajnego – dosłownie – handlu zbożem z Małopolski i Rusi. Spław wiślany zaczął przeżywać swoje wielkie lata. Port przy Norowym Dole pracował głośnym skrzypieniem żurawi, które ułatwiały szybki przeladunek zboża ze statków do spichlerzy i odwrotnie. A Wisła wtedy, czy to swoim starym korytem, czy „rękawem”, sięgała progów spichlerzy.

No i jesteśmy w „domu”, bowiem spichlerz „Pod Żurawiem”, który tak mile nas zaskakuje, jest jednym z tych słynnych nadrzecznych magazynów zbożowych. Zbudowany został jeszcze przed 1623 roku, a więc jego „młodość” przypadła na czas świetności Kazimierza. W wieku zaś „dojrzałym”, to jest od 1883, służył czemuś zupełnie niebywałemu – fabryce gwoździ! Do niedawna inaczej tego obiektu nie nazywano jak „Gwoździarnia” właśnie. Dziś jest to spichlerz „Pod Żurawiem” – obiekt szkoleniowo-wypoczynkowy Zakładu Telekomunikacji w Lublinie.

Wypada tu dodać, iż swego czasu spichlerz przebudowany był na mieszkania, potem wykupiło obiekt Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, a piękną adaptację jego wnętrza zaprojektował mgr inżynier arch. Tadeusz Augustynem. Teraz gospodarzą tu łącznościowcy.

A adiutant i arrasy? Sięgnijmy znów do historii Kazimierza i do... telefonu. Pierwsze słupy telegraficzne stanęły w Kazimierzu w 1889 roku i były one „ogromnym, siedmiomilowym skokiem w drodze do cywilizacji” – jak pisała jedna z mieszanek Kazimierza do lubelskiej gazety. I miała rację, bo kiedy później, w latach 30., ruszyła do Kazimierza fala letników i malarzy z Warszawy i reszty świata, to nie mogli obejść się bez takiej wygody jak telefon i telegraf. Budynek poczty, w którym pracowały te „cywilizacyjne” urzędnicy, był przykładem wysoce funkcjonalnej architektury, prostej, oszczędnej w wyrazie i jednocześnie znakomicie „wkomponowany” w unikatowy krajobraz miasta i otaczającą go zieleń. Chodzi oczywiście o ten skromnie stojący u zbiegu ulic Tyszkiewicza i Nadwiślańskiej budynek Poczty, wystawiony w 1930 roku według projektu Romualda Gutta, wybitnego polskiego architekta, profesora Akademii Sztuk Pięknych i Politechniki Warszawskiej.

W Lublinie tuż po wyzwoleniu profesor Romuald Gutt wraz z Zofią Schultzówną byli autorami pierwszego planu zagospodarowania przestrzennego powstałego wówczas Muzeum na Majdanku.

Miał więc Kazimierz Dolny – miasto letników i bohemy – telefon na pięknej poczcie. I miało też miasto szczęście do dyrektora warszawskiej fabryki urządzeń telekomunikacyjnych, który w tychże samych latach 30. na apel burmistrza Tadeusza Ulanowskiego, nie odmówił pomocy. A była ona potrzebna do wsparcia słynnej kazimierskiej szkoły rzemiosł. Tej samej, którą po pierwszej wojnie światowej założył był Jan Koszyc-Witkiewicz, i która po jego wyjeździe popadła w finansowe tarapaty. Dzięki pomocy pana dyrektora w szkole otwarty został nowy wydział – elektryczny, a jego absolwenci mieli zagwarantowane zatrudnienie w fabryce.

Wróćmy jednak do telefonów. „Ostatnia niedziela” sierpnia 1939 roku. Major Mieczysław Lepecki – były adiutant Józefa Piłsudskiego, także podróżnik, autor przeciekawych reportaży i wspomnień, odbiera telefon. Wojna. Niezwłocznie wyrusza do Warszawy.

9 września 1939 roku pod bombami przyplłynęła z Krakowa niewielka flotylla. Ot, galar wiosłowany przez flisaka Franciszka Misia, od Kroczyzna ciągniony przez mały wiślany stateczek „Paweł”, którym dowodził kapitan Marian Śliwiński. Ładunek tego „spławu” był niezwykle: skarby wawelskie, a wśród nich przesławne arrasy!

W Kazimierzu skończył się rejs, bowiem na przedpolach Warszawy już byli Niemcy. Kazimierz też płonął, nie było dokąd dalej płynąć.

Skrzynie i rulony zostały wyładowane. Niezwykle ofiarną pomoc w zorganizowaniu dalszego transportu okazali burmistrz Kazimierza – pan Tadeusz Ulanowski, i naczelnik kazimierskiej poczty – pan Leopold Pisz wraz z żoną.

Pan Pisz „wisiał” wprost na telefonie, by dodzwonić się do dowództwa grupy operacyjnej „Wojciech” i uzyskać od wojska konny transport. Podwozy nadeszły na czas. Skarby wawelskie przewiezione zostały do Tomaszowic, skąd już samochodami, kryjąc się przed nalotem, pojechały przez Lublin, Pisaki, Zamość, Hrubieszów, Włodzimierz Wołyński ku rumuńskiej granicy, a potem popłynęły do Anglii, stamtąd zaś do Kanady. A jeszcze później – w 1961 roku – wróciły do Polski.

Dzisiaj spacerując wzdłuż wiślanego brzegu w Kazimierzu, warto o tym wojennym epizodzie pamiętać.

Lubartów 333?

W Lubartowie przy ulicy Poprzecznej 9 stoi osobliwy dom: parterowy z arkadą i mieszkalnym poddaszem. Stary, mieszczański dom z XVIII wieku. Najstarsi lubartowianie – kiedy ich zapytać – mówią, że była tu jeszcze za kalwinów szkoła, mając na myśli zapewne tę sławną lewartowską, ariańską szkołę. Inni zaś, że karczma, a już z całą pewnością żydowski dom, podobnie jak i cała przyrynkowa zabudowa miasta. „Czy to Lubartów 333? Kuba...?” Śmiejemy się z popularnego kabaretowego szmonces, ale coś z tego klimatu błąka się po lubartowskich sieniach.

W zabytkowym mieszczańskim domu przy Poprzecznej 9 jeszcze do niedawna można było wypić kawę w stylowej kawiarence, potem założyć konto w banku „Bogatina”. Teraz możemy łączyć się telefonicznie, a za pomocą telefaksu z kim tylko będziemy chcieli. Odpowiadając, że jest tu numer 34-92, a fax 22-44, i że to nie jest „Kuba”, a porządna placówka usługowa Rejonu Telekomunikacji w Lubartowie.

Granitowa tablica przy wejściu informuje nas, że ten oto zabytkowy dom odbudowała spółemowska Powszechna Spółdzielnia „Jedność” w Lublinie. A ściana wokół automatu telefonicznego wskazuje, iż rozmówcy nie bardzo wiedzą, co zrobić z nogami, kiedy ręce zajmuje słuchawka.

Marta Denys

P.S. W materiale korzystano z książki Ireneusza J. Kamińskiego *Kazimierz na Wisłę* oraz informacji przekazanych nam przez Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym. Dziękujemy.